

JÓZEF LASOŃ.

# WIERNY PRZYJACIEL.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

## XII.

Wypędzone ze spalonych ludzkich sadyb, wóczyły się psy gromadnie po polach, póki na wieś jaką nie natrafiły, w której mogły by się ostać. Lecz i stąd je przepędzano. Każda chata prawie miała swojego Burka, czy Mruczka, który, uwiązany na łańcuchu, groźnie szczyrzył zęby do zbliżających się, rzeźbim swawolnie, poszukujących posad stróżów domu. Odpędzone od chat, w dnie koło wioski krążyły stada psów, jakby gromady krwiożerczych wilków, żywiąc się po części padliną końską, której w okolicach dotkniętych wojną nie brakowało. Odpędzone od istot ludzkich, coraz bardziej dziczały i stawały się niebezpieczne, tak dla drobiu gospodarczego, jak i również dla ludzi. Nocą, zmuszone głodem, ukradkiem podciągały pod zamieszkałe wsie, czekając, póki światła w oknach nie pogasną. Wówczas dobierały się do drobiu, czasami udało im się wglądnięć w spizarkę gospodarza, poćić słoniny, wleć za chatę i tam wespół z innymi zgłodniałymi żołądki nasycić. Bracia ich łańcuchowi warczeli czasem na nich, wyszczerzali białe kły, ale bądź co bądź, poznawszy w nich swoją rasę, z obowiązku tylko niektórzy łańcuchowy warknął, zaszczekał głośno, poczem pokreśliwszy ogonem, wsunął się z powrotem do budy. — Inna rzecz byłaby z kotem lub z innym jakimkolwiek stworzeniem, kręcącym się koło chaty. Wówczas Burki i Mruczki całą umiejętność swojego głosu skierowałyby na „podejrzanego”, który ośmiela się nocą wglądać pod chatę. Wnet jednakże spostrzegli się ludzie na psiskofilskiem usposobieniu swoich stróżów, spizarki i drób dobrze na noc zamykali, za najmniejszym szmerem koło chaty wybiegali z drągami, zabijając rozpanoszonych szkodników. Jednakże, jak „wilka natura ciągnie do lasu”, tak psa do chaty ludzkiej. I przytulek, i ochłap zawsze się znajdzie w domu jakiś, przytem pies wie, że należy do kogoś, a ten ktoś znowu wie, że ma psa. Jednakże wojna rozluźniła ten harmonijny węzeł, ludzie ze spalonych i zburzonych chat resztki dorobku unosząc, uciekli, psy zaś pozostawione swojemu losowi, szukały osad ludzkich, odpędzone stamtąd, włóczyć się poczęły, dziczyć, przemieniać powoli w krwiożercze zwierzęta.

Pierwsze takie stado ujrzałem na Węgrzech, w październiku, podczas marszu z Huszt do Dolby. Rankiem przejeżdżaliśmy przez wioskę położoną pomiędzy Huszt a Lipto, prawie że w połowie drogi. Przeciagaliśmy przez opustoszałą wieś. Miało się wrażenie, że kraj to wymarły, lub dżumą nawiedzony, co żywe było, z wioski wybiegło. Deskami drzwi i okna pozabijane, wyglądały raczej na kostnice z ciałami umarłych, którym przez ostatnie chwile pobytu na ziemi trzeba dać kir żałobny, a nie jasne promienie słoneczne, niż na domy mieszkalne. Nasi żołnierze, spryciarze, zaraz mnie poinformowali, że tu ani gęsi, ani kaczki, ani ludzi żadnych niema, bo oni byli chcieli się „pożyczyć”, albo kupić coś od ludzi z tego towaru. Kilka domków spalonych, pośród wsi sterczały zgłiszczka, przygaszone nocą ulewym deszczem, sprawiały wrażenie rozwalonych nagrobków na starym cmentarzu. Gdzieś tam jeszcze późną jesienią rozkwitły kwiaty koło domku, roślina, cebuli ukazywała się grządką, długolistnego chrzanu, na pół zmarzła „główka” kapusty. Rozwalony parkan przy ogródku warzywnym wskazywał, że oknami ktoś wchodził do domu, bez potrzeby rozwalili szyby w oknach, a jak wściekły zwierzę, szukając kogoś, by się zemścić, znalazł coś, pozostawione sprząty, całego życia uciekinierów majątek i dorobek, kupiony w krwawicy, bezmyślnie zniszczył, potamał, wyrzucił przez okno na potratowane grządki. Ten ktoś, to kozak najeżdźca, którego dziełem jest bezmyślna srogość i dzikość na martwych rzeczach. Czy temu barbarzyńcy — nieraz pomyślałem — nigdy na myśl nie przyszło lub nie przyjdzie, po co i na co to zrobił? Koło niektórych chat pierzyny, co chłop z babą pod nią „ligał”, w kałuży błotnej leżały, przez rozprutą podszezwę wiatr wybierał pierze i puch i wokoło rozrzucał go, jakby duże płatki śnieżne, które przyprószyły zczerniałe kałuże błota. Zaraz za wsią pola kukurudzą obrosłe ciągi

się, pożółkłe łodygi pochylały się ku ziemi pod ciężarem szyszek z ziarnami. Przy drodze pole z konieczną nieskoszoną jeszcze zieleniło się i jaskrawo odbijało od otaczających go wokół żółtych badyli kukurudzianych.

Łoskot ciągnącego trenu, krzyki żołnierzy, wypląsywały wylegujące się pomiędzy budynkami psy. Zawył, zaszczekał jeden, odpowiedziały mu inne i przebiegły w potężnych skokach przez łąkę z konieczną. Było ich sześć, a może siedm. Kudłaty, biały pudel, wielkości wilka wyróżniał się z pośród tej gromady. Reszta psów, to mieszańce wyżłów, owczarskich pasterzy, a nawet jeden okaziciel rasy jamnikowej się znalazł, który, jak maruder ucieszenie skacząc, za towarzyszymi w tyle podążał. Krzywe jego łapy z trudnością przedzierały się pomiędzy zwałonymi miejscami badyli, a brunatna sierść przypominała skoczego zająca.

Ow biały pudel, który może dawniej w dworze jakimś przebywał, w dostatkach żywot pędził, wuczonemi sztuczkami bawił właścicieli, „dowódcą” zdaje się został tej gromady, bo gdy w przyzwoitej odległości zatrzymał się, usiadł na tylnych łapach i łeb swój kudłaty w stronę przeciągających drogą żołnierzy skierował, przystanęli towarzysze jego — i rzeźbim — jakby na komendę łby swoje ciekawie w stronę naszą skierowały.

Przystanąłem na chwilę, cmoknąłem wargami, usiłowałem je przywołać. W odpowiedzi zaszczekał pudel, zawtórowały mu piskliwe głosy gromady, jamnik zaś pomierdał mordeczką, jakby chciał rzec: „Boimy się was!”. Swawolny żołnierz rzucił kamieniem w gromadę psów, zawył przeciągle i w badyłach znikł. Ruszyłem na czoło trenu, zapominając już o tych psach. Jednakże psy poczuły zapach świeżo poćwiartowanego mięsa krowiego, które wzięliśmy na wozach i trzymając się zdala trenu, poczęły maszerować z nami. Jeśli zatrzymany tren stanął, oglądaliśmy się wokoło, czy psy idą za nami. Wówczas i pudel zatrzymywał swoją gromadę, spoglądając uporczywie w naszą stronę. Tak zeszło do południa. Koło południa rozpalono ogniska na zacisznej polance, kucharze poczęli gotować strawę. Psy usiadły na małym pagórku, czasami niecierpliwie kręcały się, kiedy ich doleciał zapach gotującego się mięsa. Odpadki mięsa i kości zebrał jeden z pomocników kucharzy i podchodząc do pagórka, rzucił wy czekującym zwierzętom. Umknęły na widok zbliżającego się żołnierza, lecz po chwili podbiegły ku kościom, ogryzając je łapczywie. Zbiedzone i wynędzniałe były. Niektórym żebra przez skórę z wypłowiałą sierścią wyglądały, ogony opadły ku ziemi świadczyły o niewesołości ich usposobieniu. Gryząc się, wzajemnie wydierały sobie kłami rzucone kości, podejrzliwie patrząc na żołnierzy, czy nie zamierzają wyrzucić im krzywdy.

Po odmarszu z polanki rzuciły się na przygasłe ogniska, węsząc, wynajdywały wokoło rzucone kawałki niedogotowanego mięsa. Przez lornetkę obserwowałem uganianą po polanie gromadę. Duży, ceglaty wyrzeźbiony krzywonożny jamnik, wydierając mu z mordy kawał zylastego mięsa. Pudel uciekając przed goniącymi go „owczarzami”, wpadł w kałużę błota, wydobywszy się stamtąd, do pyska aż żółtym iłem oblepiony, pocieszenie wyglądał. Pozostałe weszły w trawie, szukając odpadków.

Nocą staliśmy na wypoczynku pod L. Batalion wmaszerował w wioskę, tren pozostał przed wioską. Pozostali przy trenie żołnierze, mający wartę, reszta do chat wcisnęła się, aby się przez chwilę ogrzać i w ciepłym kąciek podzrzemać. Ciemno było, księżyc ukrył się gdzieś za chmury, przytem mgła zimna, przejmująca. Gromada psów, która aż tutaj dotarła za trenem, korzystając z ciemnej nocy, zwabiona zapachem świeżego mięsa, cicho, podstępnie dotarła do wozów i poczęła obżerać surowe mięso. Byłoby im to uszło płazem, niestety, niezgoda zdradziła ich. Gryźć się poczęły między sobą, co wartującego żołnierza Bastgena doprowadziło do odkrycia napadu. Wspólnie z drugim żołnierzem podeszli do wozu i niespodzianie uderzyli kolbami karabinów w gromadę psów. Wyjąc, w trwodze uciekły, jednakże mały jamnik zabity został uderzeniem kolby, pudel zaś pozostał ogłuszony przy wozie. Dwie ćwiartki wołu wyrzucić trzeba było, tak poszarpały je dokoła.

Bastgen tracił kolbą pudla — zawył. Ogłuszony był uderzeniem, a przytem prawą przednią łapę miał złamaną. Już drugi z wartowników błyszczący bagniet skierował w brzuch psa, ale powstrzymał go Bastgen, mówiąc:

— Zostaw go, ja wykuruję pudla. popatrz jaka bestya ładna, tylko wynędzniała i uwalana w błocie. Słpie ma mądre — pociechę będziemy mieli z niego przy kompanii.

Przy zmianie warty, Bastgen zabrał psa do kwa-

tery, obmył mu łapę, w deseczki dwie ujął i obandażował. Początkowo pudel warczał groźnie, jednakże bandaż przekonał go o dobrych zamiarach Bastgena. Niespodzianie tedy, gdy Bastgen obwijał mu łapę, długim, czerwonym jęzorem polizał go po policzku. Poczem ręce poczęł mu starannie oblizywać, dając dowód wdzięczności. Wymyty w potoku, osuszał się posadzony w chacie przy kominku. Poczęto mu znosić chleb, cukier, który łapczywie brał, kręcąc z zadowolenia puszystym ogonem.

Z chwilą dalszego wymarszu, na wóz z mundurami wsadził go Bastgen, pootulał w szmaty, tak, że tylko wielki, kudłaty łeb wyglądał ze środka. Mroczkowski zobaczywszy psa, spytał:

— Cóż to? Cóż ten pies tu robi?

— Obywatelu komendancie! — Bastgen zaszalutował — To mój przyjaciel. Złamaną ma nogę, na razie więc jedzie!

— To wy jesteście psi kolega! He... he... he...

— Niby nie, tylko tak mi się wyrwało. Chciałem powiedzieć, że to mój pies!

— No, dobrze już, dobrze! Tylko ukryjcie go przed wzrokiem kapitana lub adjutanta, bo wam waszego przyjaciela do stu dyabłów wyrzuci.

Dano mu nazwę „Cezara”. Dobrze odżywiany i pielęgnowany, wkrótce przyszedł zupełnie do zdrowia. Łapa była tylko zwichnięta i po kilku dniach dobrze już mógł biegać. Sierść odczyszczona z brudu, białą się stała jak puch. W oliwkowych jego oczach błyszczał spryt i zmyślność, cechująca właśnie rasę pudłów. Zaraz na pierwszej kwaterze rozpoczęto go uczyć sztuczek, ale okazało się, że już „wykształcenie smorgońskie” częściowo odebrał. Chodził na tylnych łapach, podstawiony kij przesakiwał, co mu było dać w pysku niósł, słowem, jak na pudła, to wstępne wykształcenie miał dobre.

Pudel znalazł służbę. Wprawdzie cięższą ta służba była, niżli w czasach pokoju, w dworze szlachcica lub szlagona — w każdym razie ślepią i jego ustawiczne merdanie ogonem wyrażały zadowolenie z obecnego położenia.

Nastaly deszcze. Obmokłe psisko wlekło się koło wozów, zachlapane błotem, uwalane w kałużach iłu i gliny. Oblepiony taką przeróżną masą, wyglądał jak obdarty włóczęga bezdomny, którego łóżkiem — rynsztok uliczny.

Przywiązał się do świeżego chlebowadcy Bastgena, swą psią miłość i przywiązanie w rozmaity okazując sposób. Na krok nie odstępował od niego, włóczęgając się za nim, łaszcząc się wiecznie. Oliwkowemi ślepiami czule patrzył mu w oczy.

Zimną nieraz nocą, kiedy w marszu postój był dłuższy, tabor na drodze stanął, w rowach i obok spoczywali żołnierze, niejeden śmiertelnie strudzony, kamiennym snem zaraz zasypiał, koło leżącego Bastgena wyciągało się olbrzymie psisko, trzęsące się od zimna.

Smiali się towarzysze broni, mówiąc:

— He... he... he... przyjaciele.

Zmarznęte policzki uśpionego żołnierza polizał czerwonym, długim ozorem, sapnął parę razy i wtulając łeb, z wiecznie zimnym nosem, pod ramię śpiącego, zdawał się zasypiać.

Ale niech jeno kto próbował poruszyć Bastgena, lub przeszukiwać mu plecak, zaraz sapiący pysk na wierzch wydobyl, ostre pokazując zęby, warczał groźnie, ostrzegając przed atakiem, poczem rzucał się na człeka, który panu jego zamierzał psotę uczynić. Drażnił go jeden i drugi, pierwszemu bluź w strzępy potargał, drugiemu pogryzł kolano — w końcu zawarto z nim pokój, do którego był z chęcią usposobiony.

Psisko było olbrzymie i rozumne. Nie warknął ci, ani nie zaszczekał w chwili, kiedy głos komendanta spokój nakazał, kiedy jakaś niewyraźna była sytuacja. Wyczekująca cisza zaległa w pośród żołnierzy — pies jakby zrozumiał, że i on jest częścią oddziału, przysiadując na tylnych łapach, wyczekiwał spokojnie, co dalej będzie.

Żarcie miało dobre, ochłapy mięsa tłuste i chude, które żołnierze rzucali, wystarczały mu aż nadto.

Ze tam czasem kurę lub gęś po drodze, gdy się nadarzyła sposobność, z figłów udusił i w kudłatym pysku przyniósł, nie był za to bity, gdyż i żołnierz nieraz korzystał z psiego polowania. W nagrodę Cezar dostawał miękkie kostki, łebek tego, co upolował, z mózdzkiem i po ugotowaniu czerwone łapy, które z zadowoleniem chrupał, ślipiami na wszystkie strony przewracając. Gryzł gęsi i kury więcej z amatorstwa niż z musu, gdyż, jak zaznaczyłem, żryć miał nader obficie. A że i pies rozrywki szuka, Cezara przeto rozrywką było duszenie koło chałupy złapanej kury lub gęsi.

Wymachując ogonem kręcił się koło kotłów, w któ-